

Kiedy miałam dwanaście lat, zostałam pogrzebana żywcem na terenie budowy.

Od tamtej pory przerażają mnie zamknięte przestrzenie i między innymi dlatego zawsze staram się unikać wind. Tego ranka jednak robotnicy naprawiają schody między parterem a pierwszym piętrzem szpitala, nie pozostawiając mi wyboru: na oddział oparzeń muszę się dostać windą. Co gorsza, nie jestem sama.

Stojący w rogu chłopak ma nie więcej niż czternaście lat i wygląda na niespokojnego – obsesyjnie tupie prawą stopą. Z jego zachowania próbuję wywnioskować, czy odwiedza kogoś bliskiego, czy sam przyszedł na wizytę i uznaję, że chodzi o to pierwsze. Obok niego stoi mężczyzna z nadwagą i mocnym zarostem, jego ojciec, jak przypuszczam. Kiedy dostrzega moje spojrzenie, przez chwilę patrzy mi w oczy, a później kieruje wzrok na moje piersi. Gdy przesuwamy się w górę szkieletu budynku, nadal się gapi, aż w końcu spogląda w górę i studiuje moją twarz, jakby się zastanawiał, czy gdyby miał okazję, uprawiałby ze mną seks. Kiedy z ziewnięciem odwraca wzrok, mogę się domyślić, że nie spełniłam jego wyśrubowanych wymagań.

Wysiadają na trzecim piętrze – na oddziale nefrologii – a ja jadę na szóste i oddycham z ulgą, gdy drzwi w końcu się otwierają, a kropelki potu lekko łaskoczą mnie po plecach. Przede mną stoi Louise Shaw, najstarsza pielęgniarka i najbliższa osoba, jaką tutaj mam, wraz z Aaronem Umberem, studentem medycyny, który podjął niezwykle krok i zdecydował się na trzymiesięczny staż w moim zespole. Jest pod moimi skrzydłami, ale z niewiadomego powodu jego obecność od samego początku mnie irytuje. Jest zawsze uprzejmy, sumienny w pracy i skoncentrowany na naszych pacjentach, więc nie powinien wywoływać antypatii, a jednak odpowiadam biedakowi warknięciem, kiedy otwiera usta.

– Dzień dobry – wita mnie Louise, jakimś cudem panując nad kilkunastoma teczkami, które trzyma w rękach wraz ze styropianowym kubkiem kawy i kitkatem; wita mnie nimi każdego ranka. Wkrótce ma przejść na emeryturę i martwię się, że ktoś, kto ją zastąpi, nie będzie tak wyczulony na moje potrzeby. – Siedziałas do późna?

– Nie – odpowiadam. – Skąd to pytanie?

– Wyglądasz na zmęczoną.

– Miło na dzień dobry usłyszeć, że wygląda się beznadziejnie.

– Nie powiedziałam, że wyglądasz beznadziejnie – prostuje z irlandzkim akcentem. – Powiedziałam, że wyglądasz na zmęczoną. To co innego.

– Cóż, tak się składa, że byłam w łóżku przed dziesiątą – odpowiadam zgodnie z prawdą, choć nie byłam sama i być może to jest wyjaśnieniem widocznego na mojej twarzy zmęczenia. Odwracam się do Aarona, który przygląda mi się w ten swój niepokojący sposób, jakby podejrzewał, że nie jestem człowiekiem, lecz przybyszem z innej planety, i to niezbyt przyjaznym. Przeszło mi przez myśl, że może się we mnie

podkochuje. W końcu mam dopiero trzydzieści sześć lat, a z tego, co często słyszę w mediach, młodzi mężczyźni w jego wieku obecnie pożądam starszych kobiet. Pomijając fakt, że jestem jego przełożoną, nie ma u mnie najmniejszych szans, bo w ogóle nie jest w moim typie. Nie dlatego, że jest nieatrakcyjny – właściwie jest całkiem przystojny, jeśli gustuje się w takim typie urody: ciemne blond włosy, dłuższe na czubku głowy, krótsze po bokach, i bystre, szare oczy – ale jest trzynastcie lat młodszy ode mnie, a ja nie przespałam się z dwudziestotrzylatkiem, odkąd sama miałam dwadzieścia trzy lata i nie mam zamiaru robić tego nigdy więcej.

– A twoim zdaniem, Aaron? – pytam go. – Jestem wymęczoną starą wiedźmą?

– Wygląda pani w porządku, pani doktor – odpowiada, lekko się rumieniąc z powodu mojego bezpośredniego pytania.

– Tylko w porządku?

– Nie, wygląda pani świetnie. To znaczy... – urywa, czując wyraźny dyskomfort z powodu tych pytań. Jedną zaletą współczesnego świata, w którym wszyscy żyją nieustanną nadzieją, że doczekają się uwagi, którą można uznać za wystarczająco obraźliwą, żeby nadawała się do zgłoszenia do działu kadr, jest to, że rozmowy między współpracownikami, zwłaszcza płci przeciwnej, na ogół prowadzone są w granicach kontaktów zawodowych. I to mi odpowiada.

– Nie zwracaj na nią uwagi – radzi Aaronowi Louise z matczynym uśmiechem, po czym odwraca się do mnie. – To ci się przyda. – Wyciąga w moją stronę stos teczek. – Standardowo. Wyniki testów, oceny, dyżury i tak dalej.

– Zanieś mi je na biurko, dobrze, Aaron? – proszę, biorąc od Louise kawę i kitkate i przyglądając się, jak chłopak szybkim krokiem idzie przez korytarz. Jego adidasy mają już swoje lata, a ponieważ jest dość wysoki, za krótkie spodnie szpitalnego stroju odsłaniają kostki.

Może taka jest teraz moda.

– Jak długo jeszcze będę musiała go znosić? – pytam, gdy znajduje się poza zasięgiem słuchu.

– Niewiele dłużej niż mnie – odpowiada Louise. – Ale po jego odejściu pojawi się kolejny on. I kolejna ja. Nie ma ludzi niezastąpionych.

– Kolejna ty byłaby w porządku. Ale kolejny on...

– Bądź miła – upominając mnie w sposób, na jaki tylko ona może się odważyć. – Onieśmielasz go, to wszystko. Wyglądasz jak supermodelka, jesteś wygadana jak przekupka, a na dodatek jesteś jego szefową. Taka kombinacja przeraża chłopców w jego wieku.

– On nie jest chłopcem – protestuję. – Jest mężczyzną. A to różnica.

Wymieniamy się informacjami na temat przeszczepu skóry, który będę wykonywała w drugiej połowie dnia u młodej kobiety, która zemdląca z powodu arytmii i skończyła z poparzeniami trzeciego stopnia od farelki ogrzewającej mieszkanie, bo na nic innego nie było ją stać. Następnie udaję się w kierunku mojego gabinetu z nadzieją, że Aaron nie będzie na mnie czekał. Moje modlitwy zostały wysłuchane – zniknął gdzieś, tam, dokąd chodzi, kiedy nie wydaję mu obcesowych poleceń. Denerwuje mnie staranność, z jaką ułożył teczkę na moim biurku, a potem denerwuje mnie fakt, że mnie to denerwuje. To niedorzeczne, że tak bardzo irytuje mnie jego skrupulatność.

Przeglądam część mejli i wysyłam krótkie, treściwe odpowiedzi na wszystkie, które wydają się pilne. Konferencja w Paryżu za kilka miesięcy, na której mam wygłosić referat na temat etyki tymczasowych przeszczepów od zmarłych dawców. Czasopismo medyczne z pytaniem, czy podjęłabym się wykonania konsultacji merytorycznej artykułu na temat występowania obrzęków u osób po sześćdziesiątce, które doznały uszkodzenia dwóch górnych warstw skóry właściwej. Rozmaite sprawy administracyjne związane ze szpitalem, między innymi szczegóły spotkania, na które zostałam zaproszona w celu omówienia dalszych cięć, jakie mogę wprowadzić w moim dziale, aby działania NHS mieściły się w budżecie wynoszącym 2,99 funta dziennie. Mija godzina i o jedenastej trzydzieści robię obchód, pobieżny, a później wyciągam z torebki papierosy i zapalniczkę i znów idę do przerażającej windy, mijając po drodze Aarona, którego uprzedzam, żeby był gotowy dołączyć do mnie, jak wrócę.

Jest ciepły poranek i zamierzałam stanąć w tym samym miejscu co zwykle, w cieniu markizy i jakieś sześć metrów dalej, w pobliżu pomnika założyciela szpitala – zaangażowanego w XIX-wieczny handel niewolnikami, ale nikt się jeszcze do tego nie przycheił, więc pomnik na razie stoi na swoim miejscu – zauważam tego chłopaka co wcześniej. Jest sam, łokcie trzyma na kolanach, na dłoniach wspiera głowę i wpatruje się w ziemię. Wiem, że powinnam się odwrócić, zapalić w spokoju papierosa i skupić się na popołudniowej operacji, ale na widok chłopca w jego wieku, w tak oczywistym bólu i wyraźne bezbronności, po prostu nie mogę się powstrzymać.

– Mogę? – pytam, gdy do niego podchodzę, a on w pierwszej chwili jest przestraszony, ale zaraz podnosi wzrok i kiwa głową. Jego proste, ciemne włosy opadają aż do brwi, trochę jak u Beatlesów w czasach, gdy nosili włosy zaczesane na czoło. Jego skóra jest szczęśliwie wolna od trądziku, ale paznokcie budzą przerażenie. Musi je obgryzać jak ząbkujący szczeniak gryzak. Podnosi lewą rękę do ust, gdy siadam, i zaciekle atakuje palec wskazujący, a ja delikatnie go odsuwam. – Nie rób tego – zwracam mu uwagę z uśmiechem, żeby wiedział, że nie jestem całkiem wredna. – Nigdy nie wiadomo, jakie bakterie tam się czają.

– Tak mówi moja mama – przyznaje. – Mówi też, że palenie powoduje raka.

Odwracam się i spoglądam na niego, unosząc brew.

– Fajnie. – Zaciągam się pierwszy raz i wydmuchuję dym w jego stronę, a on macha ręką, żeby go przegonić. Trzymam płomień zapalniczki nieruchomo przez kilka chwil i upajam się widokiem fioletowo-niebieskiego blasku, aż w końcu ją zamykam. Sięgam po paczkę i wyciągam ją w kierunku chłopaka.

– Mam czternaście lat – informuje mnie z nutą wyrzutu w głosie. Kiedy to nastolatki stały się takie świętoszkowate? W jego wieku wzięłabym jednego, a drugiego włożyła za ucho na później.

– Nikomu nie powiem, jeśli ty się nie wygadasz.

– Nie, dzięki – mówi.

Milczymy przez kilka chwil, a kiedy staje się oczywiste, że jest zbyt nieśmiały, by się odezwać, przejmuję inicjatywę. I dobrze. Nie jestem pediatrą, ale wiem, jak rozmawiać z chłopcami w jego wieku. Dokładnie zgłębiłam temat.

– Widziałam cię wcześniej w windzie, prawda? – zagaduję. – Wyglądałeś, jakbyś był lekko zdenerwowany. Ten mężczyzna, który był z tobą, to twój tata?

– Tak.

– Chorujesz? – Nie jestem wścibska. Jestem lekarką. Pracuję tutaj.

– Nie – odpowiada. – Chodzi o mojego kumpla. Niezbyt z nim dobrze.

– Jak się nazywa ten kolega?

– Harry Cullimore. Zna go pani?

Kręcę głową i zaciągam się papierosem. Nazwisko nic mi nie mówi, ale w szpitalu jest prawie sto osiemdziesiąt łóżek, a ja rzadko oddalam się od oddziału oparzeń czy z ostrego dyżuru. Wyjaśnia, że Harry trzy miesiące temu miał przeszczep nerki, ale się nie przyjął i teraz znów jest dializowany, i czeka, aż jakiś pechowiec rozbije się na motorze albo wpadnie pod autobus. Od pięciu dni przebywa w szpitalu z powodu powikłań związanych z infekcją pęcherza i nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie został wypisany. Kiedy wypowiada słowo „pęcherz”, rumieni się i odwraca wzrok, co jest urocze.

– Miło, że go odwiedzasz – chwalę go.

– To mój najlepszy kumpel – odpowiada, wzruszając ramionami. – Wychowywaliśmy się razem.

Chłopak jest bliski łez, a jego bezradność mnie wzrusza.

– A ty? – pytam. – Jak się nazywasz?

– George – mówi.

– George i co dalej?

– George Eliot.

Śmieję się i nie wiem, czy nie żartuje.

– Co? – dziwi się.

– George Eliot? – pytam. – Poważnie?

– Aha. – Najwyraźniej jest przyzwyczajony do tego, że zadaje mu się to pytanie. – Pisarka. Wiem. Ale to była kobieta, prawda? A ja, no wie pani, nie jestem kobietą.

– Ale naprawdę się tak nazywasz?

Kiwa głową, a ja nie mam powodu, by mu nie wierzyć. To byłby nietypowy wymysł.

– A ja jestem Freya – przedstawiam się i wyciągam do niego rękę. Ściska ją, ale widać, że nie czuje się komfortowo z tymi dorosłymi formalnościami. Jego dłoń jest lepka od potu, więc subtelnie próbuję wytrzeć swoją w spódnice. – A gdzie jest twój tata? Przyjdzie po ciebie?

– Nie, musiał wracać do pracy. Tylko mnie podrzucił i wpadł się przywitać z Harrym. Za chwilę pojedę do domu autobusem. Pani nie pracuje na oddziale nerek, prawda?

– Nie – odpowiadam. – Na oparzeniach.

– Na przykład ludzi w pożarach?

– Między innymi.

Krzywi się, co jest częstą reakcją wśród ludzi, którym mówię o swojej specjalizacji. Choroby to jedno, ale zniekształcenia, zwłaszcza te spowodowane pożarem, sprawiają, że ludzie czują się nieswojo. Oczywiście współczują ofiarom, ale woleliby nie widzieć obrażeń.

– Czy to możliwe, że lekarze mu o czymś nie mówią? – pyta. – Harry’emu. Mogłaby się pani czegoś dowiedzieć i dać mi znać?

– Przykro mi, ale nie – mówię. – Nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego? To mój najlepszy kumpel – powtarza.

– Rozumiem. Ale obowiązują nas zasady poufności, jeśli chodzi o pacjentów. Będziesz musiał sam porozmawiać ze swoim przyjacielem. Albo z jego rodzicami. Na pewno podzieli się z tobą tym, co powiedzieli mu lekarze.

Kiwa głową. Widział wystarczająco dużo programów telewizyjnych, by znać zasady etyki obowiązujące w zawodzie lekarza. Jestem świadoma, że jego wzrok wędruje w stronę moich nóg. Nie jest bardziej subtelny w gapieniu się na mnie niż jego ojciec, po

prostu ma mniejsze doświadczenie. Jego język wysuwa się z ust i wiem, że w tej chwili nie myśli o Harrym. Myśli o seksie. Aż nagle, ku mojemu zaskoczeniu, zaczyna płakać.

– Hej – mówię, gasząc butem papierosa i przysuwam się do niego. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Wyciera łzy z policzków. – Przepraszam. Tylko...

– Co?

– Nie chcę, żeby umarł.

Rzadko przejmuję się sentymentami. W kontaktach z pacjentami i ich rodzinami wolę pozostawać beznamietna i rozmawiam z nimi w sposób, który nie jest protekcyjny ani nie daje złudnej nadziei. Mówię prawdę, nie osładzając niekorzystnych diagnoz. Kiedy mam do czynienia z emocjami dzieci, które ucierpiały w poroździe, ze skórą w pęcherzach, zniekształconymi rysami twarzy, pozbawionych czucia albo krzyczących z powodu nieznośnego bólu, robię to w towarzystwie ich rodziców i pielęgniarki – zwykle Louise – wraz z jednym z terapeutów pediatrycznych szpitala, i przez cały czas jestem opanowana i profesjonalna. Jestem więc zaskoczona tym, że łzy George'a wzbudzają we mnie nieznana i, jeśli mam być szczerą, raczej niepożądaną empatię.

– Lekarze twojego przyjaciela na pewno robią dla niego wszystko, co w ich mocy – zapewniam.

– Czy ludzie często umierają z powodu niewydolności nerek? – pyta.

– Zdarza się – przyznaję. – To poważna choroba. Ale głównie osoby starsze. Organizm twojego przyjaciela jest młody i silny, to działa na jego korzyść. Będzie walczył.

– Nie wygląda na zdrowego. Twarz ma szarą i jest potwornie słaby. Teraz nie może nawet wstać z łóżka o własnych siłach.

Niewiele mogę powiedzieć, by go uspokoić. Prawda jest taka, że jeśli organizm Harry'ego odrzucił jedną nerkę, to najprawdopodobniej odrzuci kolejną. Wielokrotne przeszczepy powodują dodatkową traumę, a ciała tak młode jak jego nie są przystosowane do tego, by znosić znęcanie się nad nimi. W końcu, bez nowej nerki, sprawne narządy nie będą w stanie zrekompensować jej braku i zaczną się sypać. Oczywiście nie mówię tego George'owi. Chce pociechy, a nie rzetelnej opinii.

– To dobrze, że tak bardzo ci zależy na koledze – mówię. – To wzruszające.

Starannie unika patrzenia na mnie. Nastoletni chłopcy nie chcą sprawiać wrażenia kruchych w obecności dziewczyn lub kobiet. Kiedy rozmawiają o nas ze swoimi przyjaciółmi, potrafią bezwzględnie nas poniżyć, sprowadzają nas do ciała, które można wykorzystywać lub eksperymentować na nich dla swojej przyjemności, ale kiedy są sam

na sam z kimś płci przeciwnej, odzywa się ich wewnętrzne przerażenie i zupełna bezwolność. Są potworami, każdy z nich, całkowicie wyczutymi z przyzwoitości.

– Czasami muszę leczyć osoby w wieku twoim i Harry’ego – mówię mu, ostrożnie kładąc dłoń na jego dłoni, tak, żeby go nie przestraszyć. Jego skóra jest niewiarygodnie miękka. – I każdy z nich czuje się lepiej, kiedy wie, że komuś na nim zależy. Mógłbyś być teraz z innymi kumplami, bawić się w najlepsze. A jesteś tutaj. Twój kolega jest szczęściarzem, że cię ma.

Chciałabym go zapytać, ale po przebudzeniu się dziś rano obiecałam sobie, że już nigdy nikomu nie zadam tego pytania. Złamanie tej przysięgi w ciągu kilku godzin byłoby dowodem całkowitego braku siły woli z mojej strony. Spoglądam więc na zegarek i wstaję. Muszę iść. Obchód.

– Uważaj na siebie, George’u Eliotcie. – Odwracam się do niego plecami i czuję, że podąża za mną wzrokiem. Jest zmartwiony, niepokoi się o los swojego przyjaciela, ale wciąż jest czternastolatkiem z nieustannie buzującymi hormonami. Przed sobą mam rozsuwane drzwi, które zaprowadzą mnie z powrotem do środka i każę sobie iść dalej, przejść przez nie, wrócić do windy, a jemu pozwolić żyć swoim życiem.

Ale wtedy myślę o Arthurze i Pascoe, o jaskiniach rozsianych po wybrzeżu Kornwalii, o nocy, podczas której mało nie umarłam, i jestem bezbronna. Zatrzymuję się, przez chwilę wpatruję się w ziemię, a później zamykam oczy i pozwalam sobie na zrezygnowane westchnienie. Kiedy otwieram je ponownie i odwracam się, George ucieka wzrokiem, zawstydzony tym, że został przyłapany na gapieniu się, a ja idę z powrotem w jego kierunku.

Nie ma się czego obawiać. Jeśli już, to ja powinnam się bać.

W końcu lekarka z oddziału oparzeń powinna mieć dość rozsądku, by nie igrać z ogniem.